

TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO” POŚWIĘCONY NAUCE LITERATURZE I SZTUCE
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

JÓZEF RUFFER.

Z CYKLU: „MORZE“.

III.

Przebacz mi, Morze, oną godzinę nিকেzenną,
W której, bezbożnik, od ciebie objawień jałmużny
Czekałem. — Przebacz! iżem nad brzeg twój szedł
Dumy, iż cheiwość, niegodna Tajemnic, szła ze mną.

Przebacz mi winę ducha mojego, Tęsknoto,
Zem twoich ścieżek pielgrzymem nie umiał być godnie.
Iżem spotwarzył — o przebacz mi, przebacz tę zbrodnię! —
Świętość twą, lżąc cię kłamną, zdradliwą istotą...

Oto się kajam, bowiem przejrzałem, o Morze,
Oto się kajam, bowiem przejrzałem, Tęsknoto,
W jaką wysoką wasze się Moce myśl plotą:

Oto na walkę — na walkę przyszedłem tu szczytną
Z Głębią twą, Morze, o Duszy Piękności boże —
Na walkę, z której tryumfy mi jasne zakwitną!..

IV.

Marynarz wstał z zadumań milezący, próżen twogi:
Pokonał w swoim duchu potężne Śmierci widmo
I podał wiatrom żagle — niech w lot je ptaków wydma! —
Burzą go nie przeraża, o Morze, gniew twój srog!

Na nowych dróg bezdroża gna go przemożna wola
Tej Myśli, co zacheiała posiadać jasne ziemie,
O których mu wieściła, tęskniąc, że w nich drzemie
Słoneczna, młoda Moc... i śni rodzajne pola...

Bądź chwała tobie, Morze! żeś legło, niezmierzone,
Potwornych wód otehlania, paszczami burz tysiąca
Broniące dróg do ziemi, co Moc w niej śni drzemiąca...

Bądź chwała tobie, Morze! za straszne drogi one:
Że duszę marynarza nęciły niezmierzone,
By zwierzył im swój statek i w tajne szedł przestrzenie...

V.

Powraca do ojczyzny, nieświadom trwóg ni klęski,
Odkrywca nowych światów. Wspomina, jak zuchwale
Spoglądał burzom w paszcze — a statek pruje fale —
A Morze hymn mu szumi, pojący hymn zwycięski! — —

Z przepaści wód niezmiernych wydzwignął ład olbrzymi
I niesie go na barach radosny, zolbrzymiały —
A statek pruje fale: by świadom wielkiej chwały —
A Morze poji duszę hymnami zwycięskimi — —

— Ziemiecy swojej rzuci królewski dar pod nogi,
Tryumfem jasných zwycięstw zawstydzi i zadziwi
Niewierne i szydzące i tych, co byli krzywi —

A potem pójdzie w dom swój, wesełom wewnętrznym
By duszy syna zanieść skarb droższy, niżli złoty:

Rodząc twórczych Moc — brzemienią głąb
Tęsknoty — —

VI.

Morze szalało w nocy nieokiełzaną burzą!
I druzgocące wieści przyniosło jasne rano:
Z głębiny wód milezących żeglarze już nie wstaną —!
I trudem już się żadnym ramiona ich nie znużą — —!

I, Morze, na twym brzegu okropny wyrósł cmentarz:
Ramiona żon — wyjące, skomlące — małych dzieci —!
Wyrośli groźne w niebo: że — błękit jasny świeci! —

O Morze! obłąkaniem człowiecze dusze petasz —!
O Morze! tak nieludzko w mej duszy głębiach płaczą
Te klnących rąk potwory —! tak strasznie wyciem
sterczą,

Że trud mi był nie buchnąć obelgą słów bluźnierczą!

— Lecz otom się namięcił kapłaństwem: ciszą dumną
I błogosławię tobie — nad biedną tą rozpaczą —
Żeś mrącym dumnie, jasno, jest wielką, świętą
trumną — —

VII.

O czym ty szumisz, Morze, szumem chłonać brzeg fali?
O czym ty szumisz? — Jak hufce idą twe szumy
I zagarniają mi duszę w głąb wielkiej, milezącej
zadumy —

O czym ty szumisz, Morze? — Gdzieżeśmy — czego
niechali?!

O czym ty huczysz, Morze!? hukiem, jak gromów
z oddali! —

O czym ty huczysz?! — — Idą twe chmurne olbrzymy,
Groźnie wołają na mnie! — O co, gdzie walkę stoczymy?!
O czym ty huczysz?! Morze! — Gdzieżeśmy! czego
niechali?! — —

Gromią mnie groźne two głosy! takie tajemne, że
nie wiem,

Jak ci mam podać duszę, aby sponęła zarzewiem
Wieszczby twej groźnej, Morze! — Drżeniem najświęt-
szej drzę twogi!

Morze! gniew budzi się we mnie!! — Lecz tłumię
[go! niech nie wybuchą!
Bowień dusza mnie trwoży, że wstałby samemu mnie
wrogi!
— Morze! ty wieścisz mi oto jakiś potężny wzlot
ducha! — —

VIII.

Umilkło morze i oto z oteklanej wieków pomrocy
Wschodzi zbudzonej mej duszy, jak sen, przesłodka
snów dziwo,
Ów dzień świątecznie tajemny, gdy, z duszą, uro-
ków żądliwą,
Wid Morza nadszedł i uczuł ogromne, jak Morze,
swe oczy...

Pamiętam — poszedłem; las został, zostały się dzikie
me turnie,
Piastuńcze lasu poszumy i burze mym piersiom
za ciasne,
Pamiętam, jak w oczach swych myśli ja dawny w za-
pomnięć mgłę gasnę,
A wstałem i idę ja: nowy! z tęsknotą niosący się górnio!

— Już zdał mi się marny trud drogi, aż przyszła
przedziwna godzina,
Zdumiały przesłodkim zalekiem i, wszystek patrzący,
stanąłem,
A Wieczór chadzał po Wodach wmodlonem w barw
granie aniołem...

Stałem, zachłannie wpatrzony, po Wodach wodziła
się dusza,
Słuchałem, jak szepece szept modlitwy, jak wargę ku
wardze się rusza,
— A potem zapadłem w płacz wielki! co szczęście
nadmierne zaczyna.

I. PIEMIENCZYK.

PICCOLO.

— Więc jesteś? — Jeszcze jesteś?! Niedow-
wiarly!

— Dziwisz się, że cię pamiętam? Ależ to zu-
pełnie proste... Ja przecie pamiętam wszystko!

Pamiętam, kiedyś jeszcze nosił długie, cienkie
warkocz u tyłu twej pękatej czaszki i żeś już wtedy
na wodogłowie chorował...

I ty chyba pamiętasz tę spelunkę w której boski
Li-taj-pe za opilstwo na banię skazany z kompanią
swoją pożegnał toast ku czoł przodków swoich wy-
chylał? Byłeś tam wtedy rodzajem piccolo... Najwię-
kszy poeta Chin, rzucił ci na odchodnym jedyną, po-
zostałą mu jeszcze sapekę. — Potem — gdy go na
przewozie przez rzekę Błękitną, fale w Nieśmiertelność
poniosły — tyś się chepił, że ci pieśniarz przed
śmiercią ostatnią wolę swoją porucił... Czyż nie
tak?

— Paręset lat później — tłukłeś w achatowym
moździerz cynamon dla Baal Fegora i podskubywa-
łeś złote bazaranty ofiarne. Dobrze to były czasy! Nie-
prawdaż? Stodki klimat Chaldei służył ci — aż do

chwili, kiedyś okradł z biżuterii Astartę — dla tej
tam kapłanki feniokiej... Pamiętasz?

Cudna była! Miała ciemnofioletowe włosy, psze-
niozłotą cerę i długie, złośliwe oczy o granatowych
żrenicach i białkach mieniących jak koncha perłowa.
Cienkimi palcami swoich leniwych rąk wzięła ma-
nele i starożytne, ciężkie zausznice bogini — a cie-
bie, rodzic jej obiwszy, wygnął sromotnie ze świątyni...

Opowiadałeś potem, że Baal Fegor był o ciebie
zazdrosny!

Na rusztowaniu piramidy Cheopsa cię pamiętam...
Plotłeś tam wprawdzie tylko cebule we wianki, dla
żydów robotników na sprzedaż, ale kobaltowy cień
rosnącego pod ich rękami olbrzyma padał i na twoją
marnotę...

Później — kiedy dziwo kamienne rozparło się
już na piaskach gotowe, tyś głosił, że bez ciebie nie
byłoby w Egipcie piramidy... O piccolo!

...Pamiętasz stoki Himalajów i tę w lasach dzie-
wicznych Simli ukrytą, złotą świątynię Buddy? Ospały,
dobry bóg używając willegiatury i kryształowo czy-
stego powietrza, opuszczał tam podobno swój tron loto-
sowy i nogi bezruchem długim ścierpnięte — prosto-
wał. Pamiętasz wieczne obłoki, leżące na szczytach
i cedrowe kołatki trzód?

Pomnisz miejsce, kędy żywa pierś ziemi ongiś
najwyższą tęsknotą ku niebu się podniosła, by w chmu-
rosiężnym tem westchnieniu stężeć — nazawsze?! —
O nie! Tyś ssał chyłkiem tłuste mleko świętych krów
Buddy, prosto z różowych bełkocących wymion —
w mniemaniu, że Wieczność w sobie sączyz — i Wie-
dzę! I nie omyliłeś się! Takim jak ty — sądzone
jest trwanie bez końca.

Po wiekach — Cypr, użyty ci znowu przytuł-
ku. O, jakież eudowne, jakie błogie były te noce
miesięczne na wybrzeżu. Jakie ogniste wino i róże i pie-
śni!... Niebaczny — urządziłeś sobie jednak tir aux
pigeons w gołębniku Wenery — z łuku Amora, oczy-
wiście i piccolo turysta wieczny — znów pakować mu-
siał sakwy swoje podróżne. Nie było czego popasać
dłużej na wyspie!

Mściłeś się potem, rozsiewając wieści oszczercze
o Kiprydzie, że ma biodro jedno zbyt nikłe... O, nie
przec...

Chwaliłeś się natomiast, że sama Szecherezada
tysiączną drugą opowiedziała ci bajkę. Ja jednak
wiem dokładnie, żeś tylko patynkiem złotym Szeche-
rezady — w twarz dostał od jej — eunucha...

Wiem także, jakiego na Lesbos doznałeś swego
czasu przyjęcia i od jakiej to pory twój wstręt
do strofy saffijskiej się datuje. O, pozwól! — ze mną
udawać nie warto!

Pamiętam czasy, kiedyś u majstra Herostrata
jako terminator szewski przebywał, wiem kto w sta-
nowczej chwili po hubkę i krzesiwo mu poleciał —
kto potem w dymiącym jeszcze zgłiszczu spalonej świą-
tyni Efezkiej piekł sobie słodkie kasztany...

Ahenobarbus, wieszcz-samozwaniec, mianował cię
pierwszym swoim chwałę przybocznym. Niespokojne,
ale piękne dni przeżyłeś w starej, rozpasanej Romie!
Tysiące wierszy cezara wbijałeś sobie w pamięć tępa,
żeby je umieć na wyrwyki, straciłeś sen ze strachu —
ale wikt pierwszorzędnym i — klasyczny szyk augusty-
anek — pogodził cię z życiem u dworu.

Pamiętasz też ucztę na której wskrzeszono odwie-
czną potrawę Hyksosów, (Faraonów z pasterskiej dy-
nastyi) — baraninę z różanym olejkim? Nero w

wieńcu z aleksandryjskich lotosów słauił wierszem Nil i Izydę...

Pamiętasz rubiny Poppei — i tę usługę olimpijską, której nie trzeba było dawać napiwków?

Znowu jednak twoja próżność bezdena zgubiła cię! Po co było robić wiersze, gorsze nawet od neronowego partactwa? Po co czytać je samemu publicznie? Cezar odnalazł w nich rzekomo jeden ze swoich własnych pomysłów — i pewnego upojnego wieczora, poprzez fiołki i kosaćce liliowe, padł ku tobie rozkaz najwyższy — „Lwom na arenę!“

W nieszczęściu nawet, stokroć szczęśny małtołku!

Lwy — obwahały cię na okół i nietknawszy, z pogardą królewską — odeszły. Ze śmiechem darowano ci życie.

Twierdziłeś potem, że lwom odwagi zabrakło...

Pochlebia ci, że pamiętam tak dokładnie? Ależ pomnij, powtarzam, że ja pamiętam — wszystko!

Pamiętam przyćmienie skóry twoje na trapezie przedmiejskiego cyrku Byzancyum, zelżywe śpiewki, klecone na Teodorę, i to, żeś później, znacznie później, za czasów Juliusza Roveri i Michelangela — nazywał się w Rzymie — Bandinelli... Wszak prawda?

Później jeszcze, później, byłeś estetyki m kuchennym niejakiej Markizy de Pompadour... Panegiryki twoje i potrawy, przez ciebie dekorowane słynne się stały w Paryżu. „Artysta“ bowiem pokutował w tobie oddawna!

Miałeś roczną pensję płatną w złocie i zastrzeżone prawo — do resztek.

Potem zeszedłeś mi z oczu. Polezas Rewolucyi i napoleońskiej wichury nie pora była myśleć — o takich.

Aż dziś — w białym, łukowym świetle, na tle secesyjnej tapety w pełnym sezonie kamienicznego życia spotykam cię znowu. Jesteś znany, ceniony, omal że nie znakomity....

Zabierasz głos wszędzie i o wszystkim, gwiżdżesz na bogów i ludzi, jesteś za pan brat z opinią, ami cochoń z — Piękmem, per „ty“ z duchem czasu... Ale na giętkie bambusy pierwotnej ojczyzny twojej klnę się — nie minie pomsta pięt twoich wędrownych!

Po lat tysiącach stajesz przedemną ten sam — złodziej Astarty, czeladnik Herostrata, krytyk podjadek Michelangela — kuchta Baal Fegora i Pompadury i ja, ja — muszę ci mówić przy ludziach — „pan“!

I czyżby mi kto uwierzył zresztą, żeś wziął ongiś pourboir od Li-taj-pegó mosiężną, ostatnią jego sapekę?!

O ty sierocy groszu artysty! O, podjadku, o piccolo wiecznej garkuchni życia!

OSKAR HERTWIG.

Biologia i jej stosunek do socjologii.

(III.) Słynny botanik Nägeli na podstawie podobnych rozważań doszedł do przypuszczenia, że każda komórka zarodkowa składa się z licznych, rozmaitego rodzaju cząsteczek białkowych, albo ściślej mówiąc z małych grup tychże, które nazwał „micellami“. Chcąc dać wyobrażenie, wiele micelli zmieścić

się może w komórce zarodkowej wielkości spermatozoidy, Nägeli zrobił obrachunek, który wykazał, że tak bajecznie mała przestrzeń, jak tysięczna część sześciennego milimetra może zawierać 400 milionów micelli.

Z takiego zapasu cegiełek budowlanych może już wytwarzać się nieskończona mnogość ustrojów najrozmaitszych!

Gdyż po pierwsze nie nie przeszkadza przyjąć, że z owych 400 milionów cząsteczek białkowych każda różni się nieco od innych. Ponieważ cząsteczka taka jest zbudowana z wielu atomów węgla i wodoru, oraz z mniejszej ilości atomów azotu, tlenu i siarki, to przez przemieszczenie oddzielnych atomów lub mniejszych grup atomowych mogą powstawać niezliczone rodzaje różnych cząsteczek białka, podobnie jak to się dzieje z przestrzemi związkami, które wykazała chemia. Złożone zaś owe cząsteczki białka mogą z kolei wstępować pomiędzy sobą w najrozmaitsze związki i łączyć się w mniejsze albo większe grupy molekularne.

W ten więc sposób biolog przy badaniu komórki, w której ostatecznie odgrywają się wszystkie procesy życiowe, stoi wobec świata nierozwiązanych jeszcze zagadek. Z różnych stron, a więc z jednej fizyolog-chemik, z drugiej fizyk, z innej znów anatom usiłują przeniknąć do istot komórki. Czy rozwiążą kiedykolwiek postawione im przez teorię zadania?

Jeżeli nawet po zdumiewających pracach chemii i fizyki w naszym stuleciu mamy prawo do większych jeszcze nadziei na przyszłość, to jednak przedewszystkiem zadanie, ażeby w żyjącej komórce odosobnić zawarte w niej rozmaite rodzaje cząsteczek białkowych oraz poznać ich istotną naturę, wydaje mi się zgola nierozwiązalnem za pomocą obecnie używanych metod chemicznych.

Nie wiele lepiej przedstawiają się zadania dla anatoma! Jeżeli bowiem pewne teoretyczne rozważania są słuszne, znaczyłyby one, że udoskonalenie mikroskopu doszło do takiego punktu, iż nawet najbardziej wyrafinowana technika niewiele tylko mogłaby spotęgować usługi oddawane przez najsilniejsze szkła powiększające.

W każdym razie już za pomocą obecnie istniejących optycznych środków pomocniczych mogą się udać pewne daleko idące odkrycia w badaniach nad komórką, zwłaszcza przy szczęśliwym wyborze odpowiednich przedmiotów obserwacji oraz połączeniu badań mikroskopowych ze wspomnianą wyżej metodą specyficznego barwienia najmniejszych składowych cząstek. Pomimo to cząsteczki białka i micelle, jako cegiełki budowlane komórki żyjącej, na długo jeszcze, może na zawsze, pozostaną poza granicą tego, co jest dla ludzkiego oka dostępne!

Przypuściwszy jednak, że kiedyś z milionkrotnie spotęgowaną siłą wzrokową oka udałoby się zajrzeć do mikrokosmu komórki, to wszak i wówczas mechaniczne objaśnienie tej mikroskopowej, elementarnej maszyny żyjącej nie byłoby przez to osiągnięte. Pozostawałoby jeszcze przedewszystkiem do zbadania, jakimi siłami owe najmniejsze połączone w pewien określony sposób cząstki działają na siebie podczas czynności komórki. Rozwiązanie tego zadania wyda się tem mniej możliwem, jeżeli zważymy, że o daleko grubszych cegiełkach budowlanych w komórce rośliny nie jesteśmy w stanie nie powiedzieć co do ich wza-

jemnego na siebie działania podczas procesu życiowego.

Lecz badanie przyrodnicze nie zna bezwarunkowej rezygnacji na zawsze! Wprawdzie zadaniem krytycznego badacza jest zakreślanie od czasu do czasu granic temu, co możemy z pewnością poznać i temu, co stanowi niedostępny dla naszego badania problemat, to jednak nie należy tworzyć dla umysłu człowieka nieprzekraczalnych zapór pod postacią kategorycznego „Ignorabimus“. Albowiem kto potrafi naprzód obliczyć drogi i środki pomocnicze, jakimi rozporządzać niegdyś będzie poznawcza władza człowieka w jego obcowaniu z naturą? Czyż nie widzimy, jak niekiedy przez szczęśliwy zbieg okoliczności, nawet przez mało z początku cenioną obserwację otwiera się nowa dziedzina poznania?

Dlatego też słusznie przyrodniczy sposób myślenia w wewnętrznej swej istocie jest przeważnie optymistyczny, a przez to nierzadko skłonny do wielkiej przesady i jednostronności. Przez obcowanie z naturą badacz otrzymuje wciąż nowe pobudzenia, które go ożywiają, podobny do Anteusza, o którym grecka mitologia opowiada, że każde zetknięcie z matką ziemią wlewa w niego nową siłę życiową i czyni go niezwyciężonym.

Nietrudno jest znaleźć w historii nauk przyrodniczych liczne tego przykłady.

Kiedy Archimedes odkrył prawa dźwigni i przez to zaznamił współczesnych z nowym środkiem znacznego spotęgowania ludzkiej siły, wznosił się zaraz do słynnego okrzyku: dajcie mi we wszechświecie tylko jeden punkt oparcia, a ja wam ruszę ziemię z jej posad!

Nasładowując Archimedes, francuski przyrodnik Raspail, który jeszcze przed Schwannem przewidywał znaczenie komórki dla życia roślin i zwierząt, powiada: dajcie mi tylko jedną komórkę, w której wnętrzu inne komórki mogłyby się tworzyć podług mej woli, a ja wam zaludnię świat stworzeniami.

Uczony, bardziej skłonny do fizykalnego sposobu badań, jak Du Bois-Reymond, zadawał się wymarciem, jako ideału ludzkiego, poznania przyrody, ducha Loplace'owskiego, dla którego wszystkie zjawiska świata mogłyby być przedstawione za pomocą jedynej formuły matematycznej, niezmiernego układu jednoczesnych równań różniczkowych, z którego w każdym czasie byłoby wiadome miejsce, kierunek ruchu i prędkość każdego atomu świata“.

Botanik Cohn na jednym z ostatnich zjazdów przyrodników przepowiada, że organicznej chemii uda się kiedyś wykraść roślinom ich tajemnicę wytwarzania krochmalu, cukru i białka z powietrza i wody, oraz, że przez to chemia sprowadzi wiek złoty, w którym wszelkie kłopoty o żywność będą za jednym zamachem usunięte, dzięki sztucznej fabrykacji chleba mleka i mięsa.

Nie miejmy za złe przyrodnikom ich optymizmu. Albowiem po pierwsze czerpie on zwykle pewnego rodzaju usprawiedliwienie ze źródła dokonanych faktów, z nowego opanowania przyrody, po drugie zaś stanowi cenny środek, który pobudza człowieka do coraz nowego ujawniania swych sił w kierunku poznania i ujarzmania natury.

* * *

Z temi trzema kierunkami, o istocie których i żądaniach starałem się dać wam, czytelnicy, pewne

przybliżone wyobrażenie, biologia słusznie zajmuje środkowe stanowisko w całokształcie nauk. Przez swój kierunek chemiczny i fizykalny opiera się ona o wielką dziedzinę teoretycznych, ścisłych nauk przyrodniczych: o chemię, fizykę i matematykę; zaś przez swój kierunek anatomiczno-biologiczny styka się z ekonomią polityczną i naukami społecznymi. Co się tyczy tego ostatniego stosunku, to w nowszej zwłaszcza literaturze, znajdujemy wyraźne i jasne zrozumienie odnośnych związków.

Znany pisarz społeczno-polityczny Schäffle rozpatruje zagadnienia socyalne w obszernym dziele pod charakterystycznym tytułem: „Budowa i życie ciała społecznego“, przy czem przeprowadza szczegółowe zestawienia pomiędzy budową i życiem ustroju zwierzęcego z jednej strony, a socyalnego z drugiej. Zoolog i biolog angielski Huxley w wielu społeczno-politycznych szkicach starał się oświecić ze stanowiska swojej wiedzy pewne ogólne socyalne zagadnienia. Podobnie jak z jednej strony Darwin został pobudzony do wygłoszenia swej nauki o doborze naturalnym przez pracę ekonomisty Maltusa p. t. „O zaludnieniu“, tak znów z drugiej strony poglądy Darwina, pojęcia walki o byt, doboru naturalnego, często występują w pracach ekonomicznych. Zwłaszcza filozof Herbert Spencer w genialny sposób wykazał w licznych swych dziełach, wiele niezliczonych nieoi łączy i wiąże te dwie dziedziny: biologię i socyologię.

Bieg naszych rozumowań dotyczących nauki o ustroju i życiu doprowadził nas znów do punktu, z którego wyszedłem, a mianowicie do poglądu, że i państwo można porównać do cudownego organizmu, w którym jedynie ludzkie cnoty i uzdolnienia w całej pełni rozwijać się mogą.

I państwo także składa się z wielu, rozmaicie działających narządów, posiada swój właściwy rodzaj życia, oddziaływa na ten lub inny bodziec w sposób z trudnością dający się naprzód przewidzieć, rozwija się, zmieniając przytem swoją organizację, osiąga wiek kwitnienia, ażeby potem zestarzeć się i wreszcie, jak wszystko, co skończone, uleść ostatecznemu zanikowi.

Głębsze wniknięcie w historię kultury poucza nas, że od zamierzonych czasów stosunki społeczne u ludzi zmieniały się ustawicznie w szybszym lub wolniejszym tempie, i że odpowiednio do tego w oddzielnych okresach historycznych ideał państwowy i ustrój społeczny bywały rozmaite. Podobnie jak według poglądu Darwina odbywa się stopniowe udoskonalenie organizmu drogą ewolucji, tak niewątpliwie także w rozmaitych następujących po sobie ustrojach państwowych daje się spostrzedz, na ogół biorąc, powolny postęp ku wyższym szczeblom organizacji społecznej.

Od jakich lat stu znajdujemy się niewątpliwie, przynajmniej co się tyczy kulturowych krajów europejskich, w okresie szybszego biegu, w okresie, w którym najgwałtowniejsze siły poruszające zostały wyłobyt w sposób nieznany dotychczas ludzkiemu społeczeństwu, do nowych zatem zmuszonemu przekształceń. Obok maszyn pędzonych parą, które potęgując stokrotnie siłę roboczą człowieka są obliczone dla produkcji na wielką skalę, nie mógł ostać się dawniejszy sposób wytwarzania, obliczono jedynie na małe potrzeby.

Z tego powodu Ferdynand Lassal w swym programie robotniczym równie trafnie, jak prawdziwie,

wyraził się o pierwszej przez Arkwright'a wynalezionej maszynie do tkania bawełny, że stanowiła sama przez się rewolucję, albowiem kryła w swych grzebieniach i kółkach zaczątek całego nowego stanu społecznego, opartego na swobodnej konkurencji, który z siłą i koniecznością życiową musiał się z owego zaczątku rozwinąć. A jak Arkwright stworzył tę maszynę, tak przyrodniczo wykształceni inżynierowie i technicy stworzyli jeszcze sto innych rewolucyjnych maszyn, dzięki którym siła wytwórcza człowieka niezmiernie została spotęgowana, sposób wytwarzania gruntownie został zmieniony, co spowodowało nowe społeczne stosunki.

Sprzeciwiałoby się to prawu przyczynowości, gdyby sto lat temu rozpoczęta, coraz potężniejsza rewolucja w sposobach wytwarzania i komunikacji nie wywarła swego wpływu na wszystkie części państwowego ustroju, przedewszystkiem jednak na sfery bezpośrednio dotknięte, podobnie jak w ciele zwierzęcym głębiej sięgające zmiany w jednym układzie narządów pociągają za sobą korrelacyjne zmiany we wszystkich narządach pozostałych. Wiek przyrodniczy musiał zatem także stać się wiekiem socyalnym. W jednym wypadku nazywa go się według przyczyn, które tak potężnie zmieniły nowoczesne gospodarstwo społeczne, w drugim bierze się pod uwagę jedno z najważniejszych i najciekawszych działań wywołanych przez te nowe przyczyny w społeczeństwie ludzkim.

Podczas gdy wielu spostrzega w obecnych socyalnych zjawiskach pewne poważne niebezpieczeństwo dla dobra i przyszłości państwa, to nie należy zapominać, że gdzie ma nastąpić postęp, tam muszą także w organizmie państwowym być poruszone siły prace do dalszego rozwoju. Nawet niejasne nadzieje i życzenia, utopie społeczne różnego rodzaju, które wybujały wysoko jak w cieplarnianej atmosferze, mogą w ogólnym procesie rozwojowym i w danych warunkach okazać się wpływowymi, dla dobra państwa pożytecznymi fermentami, jeżeli wejdą na właściwe tory.

I tutaj także porównanie z organicznym procesem rozwojowym może nam dać ważne wskazówki. — Im wyżej w szeregu zwierząt jest uorganizowany i zróżnicowany dany rodzaj, tem więcej w ciele zwierzęcym każda z rozmaitych jego części jest zależna od życia całości. Podczas gdy niższe zwierzęta można pokrajać na liczne kawałki, z których każdy żyje dalej sam dla siebie, a nawet stopniowo odzyskuje utracone części, to w wyższym ustroju zwierzęcym każda odcięta od niego część ulega pewnemu zanikowi, a i cały ustrój jest przez to ciężko dotknięty, nawet w swym istnieniu zagrożony. Albowiem w organicznym procesie rozwojowym różnicowania się ciała na rozmaicie działające narządy towarzyszy inny, równie ważny proces równoległy, a mianowicie całkowanie, czyli coraz większe podporządkowywanie części pod panowanie całości.

Podobnie ma się rzecz w rozwoju państwowym! W różnicującym się procesie gospodarczym oraz w złożonym życiu duchowym nowoczesnej kultury, pojedynczy osobnik wykonywa jedynie niewielką część ogólnego czynności i dlatego tem bardziej dla utrzymania swego bytu, jest przywiązany do określonego zajęcia i uzależniony od całości. Z tego powstają złożone stosunki całości, a więc państwa wzglę-

dem oddzielnych osobników i na odwrót. Pojedynczy osobnik na mocy określonej państwowej organizacji staje się zależnym i jednostronnie wykształconym, a przez to także w pewnych warunkach bezradnym członkiem całości; stąd wynikają moralne zobowiązania i trudne zadania sprawiedliwej socyalnej polityki. Rozwiązywanie tych zadań nie odbywa się z dziś na jutro, albowiem procesy organiczne prowadzące do trwałych przekształceń, zachodzą nader powoli; zadania te stanowią troskę teraźniejszości i zagadkę przyszłości!

Z całą ufnością można mieć nadzieję, że obecne państwa kulturalne z przyrodniczo-socyalnego procesu rozwojowego naszej obecnej epoki historycznej wyjdą wzmocnione i oczyszczone, że uposażone w nowe olbrzymie środki pomocnicze, wniosą się na wyższy szczebel państwowej organizacji o bogatszej moralnej treści.

Czy nadzieje te są zupełnie nieuzasadnione? Wszak wiele państw posiada pracowity i oświecony stan robotniczy, który dzięki nieznanemu dawniej ogólnemu przymusowi szkolnemu i dzielnemu nauczaniu ludowemu wznosił się na względnie daleko wyższy poziom inteligencji, aniżeli dawniej. Wszak nawet ogólny przymus wojskowy posiada dodatni wpływ wychowawczy, wyrabiając między innymi takie społeczne cnoty, jak wierność obowiązkowi, postuśnienie, punktualność i wytrwałość. W naukowych i kierujących kołach państwowych spostrzegamy liczne usiłowania wniknięcia bez uprzedzeń i z otwartymi oczyma w istotę procesu socyalnej ewolucji, zrozumienia jego przyczyn i skutków, wykazania istotnie szkodliwych stron państwowego organizmu i skierowania jego czynności ku środkom zaradczym.

Podczas gdy przed niewielu dziesiątkami lat materialistyczny pogląd wychodzący z jednostronnego i niehistorycznego punktu patrzenia na świat, zapoznawał znaczenie czynników religijnych i etycznych dla rozwoju ludzkości, to dziś i w tym także kierunku daje się spostrzedz zmianę, dążenie do wykazania, że intelekt nie jest pierwotnym i najistotniejszym czynnikiem w tej ewolucji (Benjamin Kidd).

Zacząto rozumieć, że pewne socyalne wiązania muszą wypełnić się odpowiednią, socyalno-etyczną treścią, jeżeli mają przedstawiać trwałe i dla dobra społecznego pożyteczne organizacje, że dalej do postępowego i kwitnącego rozwoju organizmu społecznego potrzeba przedewszystkiem, ażeby w oddzielnych jego członkach rozwinęła się silna i żywa świadomość państwowa, idealniejsze pojmowanie celów oraz zadań państwa.

Tłómaczyła R. N.

ADAM CYBULSKI.

KAPLICA SZTUKI CZYSTEJ.

(V.) Wyras gorącym sympatyom romańskim Miriamie daje jeszcze przez A. Langoe wiernie przetłóżony poemat Ramona de Campoamor p. t. „Licenciado Torralba“. Rzecz ta złożona z dwu części a ośmu pieśni, pisana formą bardzo swobodną i kapryśną, jest epicko-lirycznym poematem filozoficznym, rodzajem hiszpańskiego „Fausta“. Bohater tego po-

e atł licencyat kawaler Eugeniusz Torralba jest to nostał w rodzaju naszego Twardowskiego. Legendy o nim były w Hiszpanii bardzo rozpowszechnione. Literatura hiszpańska jednak przed Campoamorem nie korzystała z nich prawie zupełnie i zaledwie Cervantes wspomina o nim w swoim „Don Kichocie“. Torralba był postacią historyczną. Był to jeden z tych ludzi uniwersalnych, w jakich obituje epoka Odrodzenia. Awanturnik ten nowych wieżał przysług spragniony, w pogoni za niemi z kraju do kraju wędrujący, gorączkowo zajmował się wszystkim, grał, pił, hulał i bił się, a przedewszystkiem kochał, równocześnie studiując gorliwie: magię, astrologię, fizykę, medycynę, filozofię, teologię, moralność, politykę, retorykę, literaturę. Oddawał się czarnoksięstwu, był deistą i panteistą, sceptykiem i katolikiem zarazem. Duch niespokojny, umysł badawczy, wyobraźnia płomienna, ruchliwość niepospolita. Nie dziwnego, że człowiek ten niezwykły znaleźć musiał niezwykłą śmierć. Uwieszony przez Święte Oficyum za stosunek z pewnym upadłym aniołem imieniem Zakiel, skazany został na śmierć przez spalenie. Z tym aniołem zaznajomił się Torralba za pośrednictwem jednego ze swych przyjaciół, Dominikanina Fray Pedro. Odtąd Zakiel czuwał nad licencyatem i oddawał mu niepospolite usługi, ostrzegając go przed każdym niebezpieczeństwem. D 5. maja r. 1519 n. p. uwiadomił Torralbę Zakiel, że miasto Rzym będzie zdobyte przez cesarza. Owóż Torralba pragnął widzieć te wypadki — i Zakiel na jego prośby uniósł go do Rzymu. W godzinę później byli przy ulicy Torre de Nona. W półtorej godziny potem stanął Torralba w Valladolidzie z powrotem i opowiadał wszystko o konetablu Burbonie i uwięzieniu papieża w Sant Angelo. Gdy po niejakiem czasie wieści te dosłownie się sprawdziły — uważany był powszechnie za czarownika, oddanego piekłu. Ostatecznie przyjaciel jego, Don Diego de Zuniga zadenuncyował Torralbę i w r. 1528 wtrącono go do ciemnicy Inkwizycji. Rozprawa i śledztwo trwały blisko trzy lata. Początkowo badano go tylko z powodu jego związku z Zakielą oraz z powodu czarnoksięstwa; później przypomniano dawne dysputy, a także pytano go, jak Zakiel uważa naukę Lutra i Erazma. D. 6. marca 1531 r. ogłoszono wyrok. Torralba zginął na stosie, jako czarnoksiężnik, zaprzeczający złemu duchowi, oraz jako heretyk i bezbożnik.

To kanwa, na której Campoamor osnuł swój głęboki i dziwny poemat. „Jako prawy Hiszpan — mówi tłumacz — jest jednak Faust-Torralba w znacznym stopniu Don Juanem, i w istocie głównym przedmiotem jego trosk, walk i całego weltschmerzu jest kobieta, która w rzeczywistości nazywała się La Rosales, a z której Campoamor wywołał wdzięczną, niezmiernie postać Kataliny, wcielenie piękna, kłamstwa, zdradnej ambicji i niewieściej. Głównym zaś kierownikiem spraw Torralby, towarzyszem jego grzechów i majaceń — jest ów bajeczny Zakiel, anioł upadły, któremu autor bardzo szeroką wyznacza rolę. Uważny czytelnik zrozumie, że pod postacią Kataliny — nie tylko miłość i kobieta występuje; że autor usymbolizował w niej liczne trwogi i rozdwojenia duszy ludzkiej: ducha i ciało, ideał i materię, złudzenie i rzeczywistość. Dosłownie jednak rzecz biorąc, Torralba — od początku do końca — żyje dla Kataliny i przez Katalinę: wierna czy zdradna, oddana aniołom czy piekłu, obecna czy nieobecna

żywa czy umarła, jako duch subtelny, czy jako ciało bez ducha (sztuczna *muliercula*, siostra faustowskiego *homunculusa*) — zawsze jest ona w nim i przy nim. Dla niej poszedł do piekła i dla niej ginie umęczony“. Choć w poemacie Campoamora znajdujemy wszystkie nazwiska, jakie utrwaliła legenda: La Rosales, Fray Pedro, Diego de Zuniga, Juan Garcia, Pedro Morgano, Silva de Salcedo — to jednak nie jest to bynajmniej rzecz historyczna. Anegdota i osobistości dotknięte są tylko z lekka. Campoamor „oddany swobodnie wyobraźni, roztoczył niezwykle jej czarodziejstwo po całym swem dziele — i prawie ani jednego wiersza w poemacie nie ma, któryby nas nie uderzył jakąś wyjątkową myślą, zwrotem, obrazem. Ton poematu, swobodny i kapryśny, przeskakuje od powagi do humoru, od cynizmu do rozpacy, od brutalnej rzeczywistości do niezgłębionej mistyki. Przy całej tej swobodzie, Campoamorem kieruje ścisła, jasna logika geniuszu łacińskiego. Chociaż czasami brzmi nam w uchu jakby głos Heinego albo Fausta Goethego (zwłaszcza ton Mefista) — w gruncie jednak mamy tu humor Cervantesa, ale przegoryczony zwątpieniem i ciężarem licznych rozczerowań. Czasami przypomina się Wolter, czasami zda się nawet, że Arystofanes do nas przemawia: światy całe umie autor brać za motyw swego dowcipu“.

Nie chcąc przedłużać sprawozdania, które i tak w skutek bogactwa materiału za wielkie przybrało rozmiary, ograniczymy się tylko na prostym wyliczeniu pozostałych jeszcze do omówienia przekładów, które przynoszą dwa ostatnie tomy „Chimery“. Literaturę angielską reprezentują w nich: poemat Johna Keatsa p. t. „Hyperion“ oraz szereg ballad szkockich i angielskich, pierwsze w przekładzie J. Kasprowieza, drugie w przekładzie prof. Edwarda Porębo-wicza, jednego z wielkich naszych mistrzów-tłumaczy. Z literatury niemieckiej mamy Chr. D. Grabbego („*Der besoffene Shakespeare*“ powiedział o nim Heine) wyborną komedią fantastyczno-satyryczną p. t. „Zart, satyra i ironia“, oraz fragmenty z wysoce interesujących wyznań Arnolda Böcklina i fragmenty z „Zaratustry“ Nietzschego — wszystko w przekładzie p. Wacława Berenta. Z literatury duńskiej p. T. W. przełożył bajkę H. C. Andersena p. t. „Świnie w lesie“, z czeskiej Miriam „Tajemnice w sztuce“ Otokara Brzeziny. Z ruskiej pp. Michał Moczulski i Dr. W. M. kilka drobniejszych utworów Wasyla Stefanyka.

Z niecierpliwością wszyscy miłośnicy sztuki czyściej wyglądają pojawienia się dalszych zapowiadanych zeszytów „Chimery“, życząc temu wydawnictwu, ażeby na tej samej zawsze pozostając wyzynie, coraz szersze horyzonty współczesnej twórczości, polskiej zwłaszcza, obejmowało. A choćby tom pierwszy miał być zarazem i ostatnim, niemniej „Chimera“ w dziejach kultury naszej zachowa miejsce skromne ale zaszczytne, które należy się jej wydawcy, „odważnemu misjonarzowi piękna“, najszczytniejszej „chimery“ ludzkiej.

BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON.

W SIEDEMDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ URODZIN.

Jest dom w Norwegii, ku któremu zwracają się w tych dniach myśli całego cywilizowanego świata, gdzie nadechdzą stopy listów z entuzjastycznymi życzeniami, adresy z tysiącami a nawet dziesiątkami tysięcy podpisów. Dom na niewielkiem wzgórzu wśród drzew i łąk z wijącymi się tu i ówdzie grudniowym lodem pokrytymi strumykami. Na pejzaż ten zima zarzuciła swój płaszcz śnieżny, porysowany norweskimi nartami... Dookoła uroczej siedziby, pod niebem pełnem tajemniczości północnego światła, powiewały niedawno flagi o barwach różnych krajów, dziwnie odbijając od tła sielskiego krajobrazu... Tu mieszka Björnsterne Björnsson, wielki poeta Północy, a przedewszystkiem wielki, w całym, najlepszym, najszerszym tego słowa znaczeniu człowiek.

8. grudnia 1902 — to data siedemdziesięcioletniej rocznicy urodzin Björnssona, to dzień w którym ze wszystkich stron świata spieszo do Norwegii, by złożyć hołd wielkiemu mężowi.

Uroczystości jubileuszowe trwały parę dni, od 8 do 10 bm., a program ich wypełniały: przedstawienia sztuk jubilat w Chrystyanii, kantaty, składanie hołdów przez deputacje, adresów, kreowanie *Kasy pomocy dla nauczycieli*, ufundowanej przez Björnssona i jego małżonkę z funduszy własnych i daru narodowego, z którego w ten sposób skorzystał salwy we wszystkich miastach Norwegii, festyny ludowe, bankiety...

Tym razem czczono nie tylko poetę, dramaturga, myśliciela; składano hołd także a raczej przedewszystkiem mężowi, co pół wieku już przeszło jest wzorem najlepszego patriotyzmu, najszczytniej pojmującego prawa człowieka, wolność, sprawiedliwość, braterstwo — te „sezamy“ raju cudownego, gdzie kiedyś ludy żyć będą w zgodzie i szczęściu!

Życie tego dzielnego syna Północy jest długie, gorące a w plony obfite, jak piękny dzień letni. Cała w nim potęga zapału i cała moc twórczości. Przjrzyjmy się jego portretowi: entuzjazm i siła woli biją z jego wysokiego czoła i jego żywych oczu, z wydatnego nosa; gęste, do grzywy podobne włosy wiehrzą się na głowie. Björnsson ma w sobie coś lwiego! Cały korpus równie potężny, jak głowa: atleta stworzony do walki. I walczył też i ciągle jeszcze walczy. Jako młodzieniec staczał walki z ludźmi o swoje przekonania, jako człowiek dojrzały o instytucje ku pożytkowi swego narodu, jako starzec walczy o idee...

Björnsterne Björnsson urodził się 8. grudnia 1832 r. w Kvikne, dzikim, górskim zakątku Norwegii, jako syn pastora. W siedemnastym roku życia rozpoczął już studia uniwersyteckie w Chrystyanii. Życzeniem ojca było, by tak jak on został pastorem. Woli tej jednak sprzeciwił się młodzieniec, a gdy rodzic odmówił mu materialnej pomocy, postanowił piórem zarabiać na życie i wkrótce też rozpoczął swoją karierę literacką jako krytyk teatralny i poeta, a nie miał jeszcze lat dwudziestu, gdy podjął się zadania Tytana: postanowił wyrugować ze swojej ojczyzny rozwiłkowaną sztukę duńską i zastąpić ją swoją. I dopiął celu! W tym samym czasie zaczął spełniać swoje marzenia w kierunku podniesienia ludu norweskiego przez oświatę, przez zbliżenie do siebie.

Przebiega wzdłuż i wszecz krainę gór i fiordów, wygłasza odezwy i mowy.

Był w owym czasie młodzieńcem studentem, bez pieniędzy, dzielącym smutną dolę z równie, jak on, biednym kolegą, a przecież lubi wspominać ten ciężki okres w swym życiu i z przyjemnością zawsze opowiada przygodę, jaka mu się wydarzyła w tym czasie pierwszych młodzieńczych uniesień w domu pewnego wyższego duchownego protestanckiego, który go zaprosił do siebie na wieczór. Podają herbatę. Björnsson, jak zwykle, bardzo rozmowny, dysputował, i zagadany cały, chciał roztopić cukier w swojej filiżance. I cóż robi? Porywa łyżeczkę pani pastorewej, mięsza nią swoją herbatę, oddaje i znów bierze; cukier nie chce się roztopić. Zniecierpliwiona wkońcu i oburzona tym objawem złego wychowania pani domu: „Ależ, panie — odzywa się — ma pan przecież łyżeczkę na swojej podstawce! — „Ach, przepraszam — uniewinnia się Björnsson. — Nie jestem przyzwyczajony do takiego zbytku... Mój przyjaciel i ja mamy tylko jedną łyżeczkę...“

Chwilowe ubóstwo Björnssona, chwilowe, bo jego ojciec był zamożnym człowiekiem, nie przeszkadzało mu w dwudziestym szóstym roku życia zostać dyrektorem teatru w Bergenie, który doprowadził do prawdziwie kwitnącego stanu. I oto jest już na drodze do majątku, do sławy. W trzydziestym roku powieści jego i poezye są już tłumaczone wszędzie, a jego utwory dramatyczne wieńczy wielkie powodzenie.

Poważny jest dorobek literacki Björnssona. Oprócz całego szeregu nowel, romansów, poezyj, samych sztuk na scenę napisał kilkanaście a wszystkie z wybitną cechą społeczną i filozoficzną. Sztuki te przeważnie dotąd nie schodzą z repertuaru a „En fallit“ („Bankructwo“) doczekało się 1200 przedstawień.

W latach 1862 i 1863 Björnsson bawi dłuższy czas we Włoszech, zwiedza Niemcy, Francję i wraca do Norwegii, ażeby przez całą serię odezytów i broszur na temat polityki, kwestyj społecznych, naukowych budzić swoich ziomków z uśpienia. Staje się coraz popularniejszym a popularność tę zwiększa przedewszystkiem jego wytrwała walka przeciwzawistości od Szwecji. Należy do tak zwanej „partii chłopskiej“, wygłasza porywające mowy... Działalność ta spowodowała w końcu jego wygnanie z rozkazu dworu szwedzkiego i... pensję dożywotnią zawołowaną mu przez autonomiczny parlament norweski.

Od roku 1872 do 1876, zmuszony koniecznością, przebywa za granicą, to jednak nie przeszkadza mu bynajmniej zajmować się żywo sprawami ukochanej ojczyzny.

Ożeniony młodo, Björnsson odradza się w swoich dzieciach i wnukach. Z trzech synów jeden jest dyrektorem teatru narodowego w Chrystyanii, drugi stoi na czele Towarzystwa żegluga, trzeci zaś zarządza rozległym majątkiem, Aulestad, mistrza norweskiego. Nadto ma dwie córki, z których jedna jest za znanyim wydawcą w Monachium Alb. Langenem a druga za Dr. Sygurdem Ibsenem, synem znakomitego współzawodnika jubilat.

Dużo mówiono i pisano o nieprzyjaźni, jaka miała istnieć między Ibsenem a Björnssonem i o ich sensacyjnem pojednaniu się podczas ostatniej choroby autora „Wroga ludu“.

Korzystając więc z nadarzającej się sposobności nie od rzeczy będzie pomówić o tem rzekomem poróżnieniu, czy długiej nieprzyjaźni tembardziej, że pisząc o Björnsonie, niepodobna nie wspomnieć o Ibsenie, tak samo, jak nie można zastanawiać się nad Ibsenem nie porównując go z autorem dramatu „Ponad ludzkie siły“.

Björnson jest entuzystą, optymistą; Ibsen sceptykiem. Björnson jest wrażliwym, szlachetnym; Ibsen surowym i nieubłagany; Björnson jest ojcowskim; Ibsen mizantropem. Podczas gdy dzieła Ibsena są jakby zanurzone w gęstym, ponurym cieniu, w dziełach Björnsona czuje się jasność słońca wiosennego, którego promienie w dobry humor wprawiają i budzą nadzieję, że minie zima burzliwa... Ci dwaj ludzie zupełnie są różni. Ich temperamenty, przekonania, poglądy w rzeczach sztuki i polityki, wszystko ich różni. Pomimo jednak, że drogi ich tak bardzo się rozchodzą, nie mają przecież charakteru antypatii. Przeciwnie, dwaj sławą otoczeni pisarze żywią dla siebie szacunek a nawet wielbią się wzajemnie.

Opowiadają, że kiedy nakładca Hegel wahał się z wydaniem pierwszej książki Ibsena, Björnson, sławny już wówczas, interweniował na korzyść swego ziomka i zobowiązywał się nawet zwrócić koszt wydania książki. Hegel zmieknął w końcu i zdecydował się wydać książkę, nie przyjmując ofiarności Björnsona. I nie miał później powodu żałować.

Szczegół ten może również posłużyć na odparcie kraczących pogłosek o antagonizmie dwóch gwiazd skandynawskich. A jeżeli ci dwaj ludzie istotnie trzymają się w pewnej rezerwie we wzajemnym do siebie stosunku, to głównym tego powodem, że tak pod względem duchowym, jak i fizycznym są zupełnie inni. Jeden mały i wąty — to Ibsen, drugi wielki i zdrowiem tryskający — to Björnson.

Niepodobna mi w pobieżnej sylwetce przytaczać wszystkich faktów, pozostających w jakimkolwiek związku z osobą sławnego jubilata, na zakończenie jednak, przytoczę jeszcze jeden szczegół, drobny na pozór, dosadnie jednak charakteryzujący tych dwóch ludzi.

Kiedy podczas otwarcia teatru narodowego w Chrystyanii, Ibsen i Björnson mieli nadawać ton całej uroczystości — pierwszy zjawił się cały błyszczący od krzyżów i orderów, drugi zaś, w skromnym, czarnem ubraniu bez żadnych dekoracji. I jego tylko widziano, na niego tylko, na tego wspaniałego ducha i ciałem olbrzyma zwracano uwagę.

I tu można było także poznać tego człowieka, który nigdy nie goniąc za zaszczytami, nigdy nie unosząc się fałszywą ambicją, czy to w swojej twórczości literackiej, czy jako działacz społeczny we własnej ojczyźnie, był, jest i zapewne długo jeszcze będzie jednym z tych dzielnych, nieustraszonych szermierzy o prawdę, prawa i sprawiedliwość, o prawa i sprawiedliwość przedewszystkiem dla swoich.

Björnson jest wielkim poetą, wielkim myślicielem, ponad wszystko jednak wielkim człowiekiem, wielkim, dzielnym synem swej ziemi ojczystej i stąd to pochodzi, że, oprócz podziwu dla jego olbrzymiego talentu, mamy tyle prawdziwej dla niego sympatii.

KŁ.

AFORYZMY.

127. Aby być zadowolonym z siebie, trzeba albo wielkiego rozumu albo wielkiej głupoty.

128. Nie można nigdy uciec całkowicie od siebie.

G. Rodenbach.

129. Rozum jest często sztuką unikania szczęścia.

Henri Murger.

130. Gdy człowiek nie chce czegoś zrobić, mówi — nie mogę; gdy nie może czegoś zrobić, mówi — nie chcę.

131. Łatwo czuć się cnotliwym, gdy zdajemy sobie sprawę z dobra, które chcielibyśmy zrobić, a nie zdajemy sobie sprawy ze zła, które robimy.

132. Każdym człowiekiem rządzi opinia, którą ma o sobie samym.

Edm. About.

132. Ze wszystkich sytuacji najbardziej tyrańską jest sytuacja wewnętrzna.

A. Lalande.

134. Opinia publiczna wątpi niekiedy o dobrym czynie, ale nigdy o złym.

135. Ten jest tylko prawdziwie wielkim, kto może znieść większego obok siebie.

136. Serce, rozum i wolę w zupełnej ze sobą harmonii nazywamy charakterem.

137. Człowiek staje się mizantropem dzięki temu, że zbyt kochał ludzi, a mizologiem czyli sceptykiem dzięki temu, że zbyt wierzył w rozum.

Platon.

138. Masa ludzka tem bardziej potrzebuje jednomyślności w swych wierzeniach, im te wierzenia trudniej dowieść się dają; jednomyślność zastępuje tu dla niej miejsce dowodu.

G. Tarde.

139. Człowiek wolny nie obawia się zobowiązań i przysięg; tylko chwiejna i słaba wola boi się narażać.

Elie Halévy.

140. Można posiadać wiele zalet uprzejmości, a jednak nie mieć żadnej enoty; można piastować zaszczytne godności, a jednak być pogardzanym; można być wielkim panem, a zarazem nędznym niewolnikiem.

Th. v. Hippel.

141. Biada niedomówieniom; to właśnie, czego niedopowiadamy, wyjaśnia istotę tego, co mówimy.

G. M. Valtour.

142. Łatwo obok siebie mieszczą się myśli, ale w przestrzeni twardo uderzają o siebie fakty.